

(Tu również pytania są stereotypowe. Odpowiedzi Beksińskiego są więc w części powtórzeniem tego o czym już mówił w poprzednich wywiadach. Ale jest ponad to sporo szczegółów, które są nowe i ciekawe. Dlatego mimo wszystko zachęcam do jego przeczytania.)

„OBRAZY WYOBRAŹNI”

(„V.I.P.” nr 12, grudzień 2002)

Twórczość Zdzisława Beksińskiego wyzwala estetyczne emocje już od prawie pięćdziesięciu lat. Jego malarstwo wzbudza zachwyt, choć bywa, że także niepokój. Na pewno jednak nie pozostaje obojętne. Ten wybitny artysta nieustannie zaskakuje nową formą wyrazu, nowym spojrzeniem wyływającym z podświadomości i twórczej wyobraźni. Beksiński nigdy nie narzuca, nie sugeruje nawet interpretacji swoich dzieł.

Pozostawia odbiorcy całkowitą dowolność. Twierdzi, że znaczenie nie ma żadnego znaczenia, a ważne jest jedynie wrażenie estetyczne. Obrazy Beksińskiego z całą pewnością takie wrażenie wywołują, ale również – czy artysta tego chce, czy nie – pobudzają do głębokich przemyśleń.

Z wielką przyjemnością przeprowadziłem rozmowę ze Zdzisławem Beksińskim. Oto jej zapis.

Jaki wpływ na Pana twórczość miały studia na Wydziale Architektury?

Nie miały żadnego. Odbębniłem te studia tylko dlatego, że ojciec widział we mnie architekta. Ja natomiast chciałem zostać reżyserem filmowym. O ile pamiętam, łódzka szkoła filmowa przyjmowała wówczas ok. 20 studentów na rok, a produkcja naszej kinematografii ograniczała się w tym czasie do jednego filmu, do „Zakazanych piosenek”. Mój ojciec więc obawiał się, że jako reżyser nie będę miał pracy. A ponieważ

widział moje upodobania do rysowania planów miast, uznał, że powinienem zostać architektem. Nie brał tylko pod uwagę tego, że miasta planowałem i rysowałem dlatego, bo miałem takie młodzieńcze i naiwnie komunistyczne wrażenie o absolutnej równości społecznej: wszyscy w projektowanej przeze mnie wspaniałej przyszłości mieli mieć takie same mieszkania, ubrania, nawet obrazy na ścianach w każdym mieszkaniu miały być identyczne. Byłem wówczas bardziej kimś w rodzaju nieletniego maoisty z Sanoka, niż architektem. Ale ponieważ to ojciec finansował studia, a ja byłem dziecięciem posłusznym, więc przystałem ostatecznie na architekturę.

Czy jakiś Pana projekt architektoniczny został zrealizowany?

Nie. Dostałem nakaz pracy w wykonawstwie. Zresztą w tamtym okresie nie było sensu zabiegać o pracę w biurze projektów, ponieważ już powszechnie panował socrealizm, co w sposób uniwersalny zniechęcało do wszelkiej twórczości. Z tego powodu nawet przestałem już wtedy myśleć o zawodzie reżysera filmowego.

Swoją twórczość zaczynał Pan w latach 50. od fotografii.

Fotografowanie było dla mnie początkowo substytutem reżyserii filmowej. Po prostu, nie mogąc kręcić filmów, zacząłem robić reżyserowane (w jakimś tam sensie) zdjęcia. W pewnym momencie zdecydowałem, że nie mam wrażliwości fotografa, że nie jestem wrażliwy na rzeczywistość, nie inspiruje mnie ona w sposób bezpośredni. Byłem zawsze wrażliwy wyłącznie na swoje wnętrze. Z postaci ludzkich, budynków, elementów przyrody, tworzyłem przy pomocy fotografii swój własny duchowy autoportret. Mogłem jednak fotografować tylko to, co znajdowałem w swym otoczeniu. Gdybym potrzebował morza, musiałbym tłuc się przez całą Polskę, by je sfotografować. Nie miałem na to ani możliwości ani pieniędzy. W końcu stwierdziłem, że w moim wypadku sensowniej jest robić wszystko przy pomocy pędzla, bo wtedy jestem mniej ograniczony.

Niedawno przeczytałem gdzieś, że zarzuciłem fotografię, bo uważałem malarstwo za sztukę wyższą. Trudno o większą brednię. Do dziś nie widzę różnicy między jakimikolwiek dyscyplinami twórczości, która uprawniałaby do podobnej klasyfikacji. Widzę raczej różnice talentu u poszczególnych twórców, niezależnie od tego, jaką dyscyplinę uprawiają, ale to już inna sprawa.

Czytając informacje na temat Pana twórczości, często spotyka się określenia: „mroczne”, „katastroficzne”, „upiorne”, „senne”. I rzeczywiście, obcując z Pana sztuką można niekiedy odczuć przejmujący niepokój.

Obrazy nie mają charakteru postulatu. Mają po prostu charakter estetyczny, mogą się podobać, bądź nie. To wszystko, co od siebie umiem powiedzieć. To ludzie wymyślają rozmaite określenia. Głównie imputują mi chęć epatowania horrorem. Często też zarzucają mi, że maluję kości. Nie maluję kości częściej niż inni malarze, ale częściej, niż występują one w tak zwanej rzeczywistości. Cóż w końcu strasznego jest w kości? Jeśli

popatrzę na moją rękę, to jest tam przecież kość. Jeśli zamawiam kurczaka w KFC, to zostaje po nim kupa kości. Nie rozumiem więc, dlaczego kość miałyby być czymś aż tak złym, żeby nie można było jej namalować. W końcu nie ja jeden je maluję. Nawet tłusta Helena Fourment miała kości i doskonale je na obrazach Rubensa widać. Pamiętam, że kiedyś, ktoś obejrzawszy moją wystawę napisał : „same czaszki”. Tymczasem nie było ani jednej. Skąd ten ktoś dopatrywał się czaszek? Być może stąd, że głowy na tych obrazach były bez włosów. Był z tym w pewnym okresie mego malowania problem ściśle formalny. Malując postać, chciałem budować konstrukcję poddaną radykalnej dyscyplinie w kształtowaniu formy, którą traktowałem jako stworzoną przez i dla siebie. Nie potrafiłem wtedy znaleźć metody na uzyskanie formalnej dyscypliny w potraktowaniu tego, co z natury było nie uformowane, czyli na przykład włosów, trawy i chmur, a więc wyeliminowałem wówczas te elementy. Dziś już znalazłem na to sposób. Ale głowa bez włosów, nie jest przecież czaszką w sensie „tańca szkieletów”.

W latach siedemdziesiątych miałem taki krótki okres zafascynowania wiedeńskim neomanieryzmem i wtedy pojawiły się na moich obrazach odrealnione czaszki. To był stosunkowo krótki okres. Już dawno jednak tego nie robię.

Był czas, gdy w Pana twórczości dominował erotyzm.

To był koniec lat sześćdziesiątych, czas największego rozpasania sztuki abstrakcyjnej, która wypełniała wówczas wszystkie sale wystawowe. Wystawy przepełnione były abstrakcyjną galanterią – stereotypową, nudną i bez wyrazu. Interesując się w tym czasie psychiatrią i seksuologią, zetknąłem się ze starymi niemieckimi wydawnictwami, pokazującymi rysunki maniaków seksualnych. Nagle zostałem olśniony ilością psychicznej emocji, która emanowała z tych naiwnych, często amatorskich rysunków. Postanowiłem wtedy, że przełamie wstyd i zacznę demonstrować to, co we mnie w środku siedzi. I tak powstało ileś tam erotycznych rysunków, częściowo zresztą zakłamanych, bo jestem człowiekiem wstydliwym i nie umiałem obnażyć się do końca.

Ponieważ sam byłem wtedy abstrakcjonistą, musiałem przełamać w sobie nie tylko wstyd, ale także sporo stereotypów w postrzeganiu samej idei przedstawiania, gdyż do sztuki przedstawiającej doszedłem właściwie właśnie wtedy. Dzisiaj też pojawiają się w moich pracach elementy erotyczne, ale już bardzo rzadko.

Czy postaci w Pana obrazach mają płęć?

Wie pan: nigdy mnie w dzieciństwie nie uświadomiono i mam spore problemy z odróżnianiem płci. Ale teraz serio: najczęściej maluję kobiety bez piersi, a mężczyzn bez przyrodzenia. Wynika to z tej samej przyczyny, dla której nie maluję włosów. Wydaje mi się, że w konstrukcji rzeźbiarskiej – a ciało ludzkie widzę właśnie jako konstrukcję – wszystko, co dynda na, czy obok tej konstrukcji, sprawia jako forma wrażenie obcej narośli i przeszkadza mi. Wyrzucam to z punktu widzenia formalnego, a nie z powodu seksualnych dewiacji czy chęci epatowania widza. Płęć bywa podkreślana jedynie gestem lub pozą.

Powiedział Pan kiedyś, że tworząc coś, nie potrafi być wiernym pierwotnemu zamysłowi.

Bardzo często zamalowuję coś, co mi się nie podoba. Kiedy przemalowując wielokrotnie, przemęcę obraz, to najczęściej na wierzchu powstaje nowy, ponieważ jestem człowiekiem oszczędnym i nie chcę, żeby zmarnowała się płyta pilśniowa. Bardzo często też zmieniam moje pomysły w trakcie roboty i przerabiam obraz wielokrotnie. Tak więc pod namalowanym obrazem jest czasami kilka obrazów zamalowanych.

Niedawno odkrył Pan nowe możliwości twórcze w technice komputerowej.

Będąc jeszcze fotografem, miałem zamiar zająć się fotomontażem, upatrując w tym remedium na moją skłonność do inspirowania się raczej własnym wnętrzem, niż otoczeniem. Nie miałem jednak jakoś okazji, by nad tym popracować, ale zamiar tkwił

we mnie przez lata, a nawet dziesięciolecia. Kiedy na początku lat 90. sprawiłem sobie małego Macintosh, w celu zastąpienia nim maszyny do pisania, przypadkowo odkryłem program Photoshop i jego możliwości. Stwierdziłem, że jest to potencjalne narzędzie do robienia fotomontażu, nie wymagające na dodatek laboratorium fotograficznego, na co w warunkach ciasnoty w spółdzielczym mieszkaniu, nie miałem po prostu miejsca. W końcu, w 1997 r. kupiłem PC oraz odpowiednie programy, no i nauczyłem się na tym pracować. Swoje prace fotomontażowe cenię na równi z obrazami, ale rozdawałem je za darmo, bo nie umiem zdefiniować pojęcia oryginału lub unikat. Jak wiadomo zapis cyfrowy może być bez straty jakości powielany w nieskończoność. Wydruki wystawowe robiła drukarnia, więc musiałem do druku udostępniać te prace na CDR, tracąc zarazem nad nimi kontrolę. Nie mogłem więc uznać tego, co wykonałem za jedyny oryginał, bo skopiowawszy CDR, każdy mógł sobie to potem wydrukować, ile razy chciał. Zajmowałem się tym *con amore* i całkowicie bezpłatnie. Jeżeli nawet coś po wystawach sprzedawano, to sprzedawali to organizatorzy, by pokryć sobie koszty wydruku, oprawy i ekspozycji.

Czy ten rodzaj twórczości jest już rozdziałem zamkniętym w Pańskim życiu?

Tworzyłem te grafiki przez 3 lata, do końca 2000 roku. Dzisiaj już to w zasadzie odstawiłem, choć prace zostały i jeszcze jakoś funkcjonują w obiegu wystawowym. Ale nie rozstałem się całkowicie z komputerem. Używam go do nowych, innych rzeczy. Rysunek ołówkiem wprowadzam skanerem do komputera i przekształcam go. Gdy uzyskam coś, co mi odpowiada, robię wydruk A3 na zwykłym papierze na czarnobiali i wykańczam go cienkopisem żelowym, dopracowując pewne szczegóły, które jakoś łatwiej wykonać mi jest na papierze. Kiedy jest to gotowe, jeszcze raz bardzo dobrym skanerem wprowadzam całość do komputera. Jest to już podstawa do ostatecznego wydruku. Drukuję w docelowym nakładzie 50 egzemplarzy, numeruję i podpisuję każdy. Można to już uznać za konwencjonalną grafikę. Opracowywane i drukowane jest to w czarnobiali, bo kolorowy wydruk na zwykłej drukarce komputerowej, nie jest trwały na

światło. Matrycy nikomu nie udostępniam, a więc odpada możliwość wykonania nielegalnych, równorzędnych kopii.

O Pana prace zabiegają najbardziej renomowane muzea na świecie, ale Pan ukochał przede wszystkim muzeum w Sanoku.

Nie powiedziałbym, że jakieś renomowane muzea zabiegają o moje prace. Nie jestem bynajmniej powszechnie uznany, chociażby dlatego, że zdecydowanie idę pod prąd współczesnych trendów. A muzeum w Sanoku? Pochodzę z Sanoka. Wiem, że w jakimś innym muzeum będę w magazynie, albo na wystawie okresowej, a w każdym razie nie będę reprezentowany aż taką ilością prac. A w Sanoku jestem eksponowany stale, więc jeśli ktoś interesuje się moimi obrazami, to może pojechać tam, a przy okazji zobaczyć piękne okolice. I przeciwnie, ten, kto pojechał podziwiać okolice, może w deszczowy dzień obejrzeć moje obrazy. Tak to zostało pomyślane i tak funkcjonuje.

Co Pan sądzi o współczesnych krytykach sztuki?

To raczej krytycy wypowiadają się o malarstwie, a nie malarze o krytykach. Ale jeśli już muszę, to uważam, że najbardziej opiniotwórcze odłamy krytyki w Europie, przyjęły wspólne, trochę naiwne myślenie o sztuce, uznając za wartościowe to, co w ich opinii poszerza język percepcji, wszystko inne zaś za eklektyczne, nie warte uwagi i bezwartościowe. Ja jestem przypisywany do tej drugiej grupy. Jest to bardzo uproszczone kryterium i stosowane bywa trochę mechanicznie, na zasadzie średniowiecznego Młota na Czarownice. Nie jestem bynajmniej wrogiem nowości w sztuce nie maluję po to, by schlebiając gustom powszechnym, łatwo zarabiać pieniądze, a tak właśnie bywam postrzegany. Sądzę, że w każdej dziedzinie mogą powstać dzieła wybitne i dzieła przeciętne. Najczęściej powstają przeciętne. Oczywiście, niesłuchanie trudno jest oceniać i wartościować bez stworzenia odpowiednich kryteriów, tym niemniej przy tak daleko idących uproszczeniach, staje się to równoznaczne z fundamentalizmem i obawiam się, że przede wszystkim z tym właśnie mamy do czynienia. Gdy znajoma pani krytyk

wypowiada się publicznie i na piśmie, że krytyk nie może oceniać zgodnie z własnymi upodobaniami lecz zgodnie z kryterium postępu w sztuce, to taki punkt widzenia ucieszyłby Mułłę Omara. No cóż – świat przyszłości będzie chyba należał do fundamentalistów. Pora umierać.

Jako, że zbliża się Boże Narodzenie, chciałbym na koniec naszej rozmowy zapytać, czy bywa Pan świętym Mikołajem?

W sensie dosłownym, nigdy w życiu nie byłem świętym Mikołajem, tzn. nigdy nie przebierałem się za niego. Kiedy jeszcze miałem rodzinę, to oczywiście w okresie świątecznym wkładaliśmy sobie pod poduszki różne prezenty, wszyscy byliśmy więc świętym Mikołajami.

Pamiętam, że w moich stronach rodzinnych, w podsanockiej wiosce Olchowce, świętym Mikołajem był co roku facet, który ostro popijał, nie gardząc nawet denaturatem. Kiedyś,

w trakcie, gdy anioł przemawiał do dzieci, on zauważył na piecu kuchennym ćwiartkę denaturatu. Złapał ją, chcąc dyskretnie pociągnąć sobie, ale nieszczęśliwie oblał sobie brodę, a ta błyskawicznie zapaliła się od świecy trzymanej przez anioła. Wrzeszcząc: „k... mać, palę się!”, wyleciał na zewnątrz, chcąc ugasić ogień. Od tej pory dzieci w Olchowicach przestały wierzyć w świętego Mikołaja.

Serdecznie dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Jacek Ślubowski

Foto Jacek Ślubowski